

Ziuta Buczyńska laureatką. Światowid Henryk Liński.

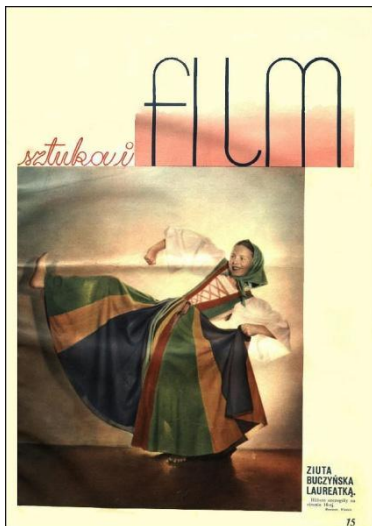
Do niedawna znana tylko w warszawskim świątku tanecznym dziś sławna na całym świecie... Druty telegraficzne, kable podwodne i fale radiowe rozstawiły na całej kuli ziemskiej Ziułę Buczyńską, główną laureatkę międzynarodowego konkursu tańca artystycznego, który świeżo zakończył się w Wiedniu. A wraz z jej imieniem rozbrzmiewało wszędzie, że zwyciężyła Polska. Jak dzięki Konopackiej przed 6 laty, jak dzięki Kusocińskiemu przed dwoma... Dobra nasza...

Co do mnie, zorientowałem się natychmiast po jej występie wiedeńskim, że to kandydatka do czołowego miejsca. Jako członek jury, siedząc w gronie międzynarodowych znawców tańca artystycznego, wyczułem od razu potężne wrażenie, jakie wywarł taniec Ziuty Buczyńskiej...

Ona zaś sama bała się o siebie ogromnie. Nie poznawałem jej zupełnie przed występem... Zawsze taka pogodna i wesoła, siedziała w przeddzień występu przy kolacji osowiała i milcząca... Niemal nie tykała podawanych potraw...

Tak samo po występie, gdy wróciła na widownię... Jej mistrzyni, pani Janina Mierzyńska pocieszała ją,

jak mogła, a tymczasem na krągłej twarzyczce Ziuteńki malował się trwożny lęk, a w oczach perliły się łzy... W bereciku, w skromnej sukience z marynarskim wykładanym kołnierzem, wyglądała jak pensjonareczka, która właśnie skończyła "klasówkę", dowiadywała się od koleżanek, ile im "wyszło" i ma poważne obawy... więc już teżki "w pogotowiu". Były łzy również w oczach "jury"... Nie tylko u pań, ale i u surowych augurów



męskich...

Jakże to było! Najpierw rozległy się dźwięki starofrancuskiej muzyki... To Couperin... Fortepian brzmiał jak "elaveein", a po scenie snuła się wizja z minionych wieków w długiej bladej fijołkowej „empiree”. Lekko muskała scenę lotnymi stópkami i rozptynała się w otchłani kulis...

W jury na razie tylko... zainteresowanie... "Pas mal... Niedlich... Rather charming" — słycać urywane głosy wielojęzyczne w tej "wieży Babel"... jury.

Speakerka ogłasza tytuł drugiego tańca, „Niepotrzebne dziecko”, koślawiąc niemiłosiernie nazwisko autora ilustracji muzycznej — młodego kompozytora Adama Kapuścińskiego, który osobiście akompaniuje tancerce. Na widowni tzw. „śmichy-chichy”, w jury również chichotki. Tytuł nasuwa śnać jakiejś „arriere-pensees”. Tłumaczę przewodniczącemu jury, że w tym niema nie śmiesznego. Chodzi o dziecko, odtrącone, sponiewierane, sierotkę, garnącą się do zabaw z rówieśnikami, lecz przez nich odpędzaną, słowem „Kopciuszką”, "brzydkie kaczątko"... Zresztą, mówię, najpierw zobaczcie taniec, a potem sądziecie...

Kurtyna idzie w górę. Na estradzie nieszczęsna sierotka tańczy swoje marzenia i smutki, wlatuje w radosnym porywie, aby wnet opaść, zgaszona, zmrożona niechęcią rówieśników... Taka biedna, bezbronna, nieporadna... Tak by chciała poharcować, pohasać z dziećmi... Rwie się do zabawy, a oni szczyją na nią psy... Załamuje się więc, znękana i stroskana, odchodzi zgarbiona, jakby

zmiażdżona ciężarem pogardy, a w oczętach, stale owianych mgiełką przejmującego smutku, potyskują łzy...

Po chwilowym oniemieniu, huragan oklasków. Ale już wnet kurtyna znów idzie do góry i wtem, zupełny kontrast... W radosnym tańcu liniowym, trochę mazurku, trochę oberku tegoż Kapuścińskiego, w mieniącym się łowickimi deseniami wełniaku wbiega Ziućka roześmiana, rozhasana w radosnym płasie, promiennym, słonecznym, pogodnym, jak błękit nieba wsi polskiej... Pobiegała, pohasała, pozerkała figlarnie, zalotnie, filuternie, uciekła i... zwyciężyła...

A tu do mnie całe jury z zapytaniem: a kto to, a co to, a jak to... Z jednej strony zapytuje słynna odtwórczyni walców wiedeńskich Grete Wiesenthal, z drugiej baletmistrz opery tokijskiej prof. Jozio Aojama, obok tancerka meksykańska, sławna La Meri, wydawca berlińskiego „Der Tanz” red. Lewitan, Szwedka Roimy Johansson, Norweżka Liiv Grevenor...

Tłumacze wszystkim razem wszystko, co wiem o Ziućce Buczyńskiej... Pochodzi z Siedlec... Choć wygląda na 16 lat, ma już 22 i... jest już od sześciu lat mężatką, żoną młodego, ale już bardzo wziętego adwokata warszawskiego... Od tylu lat jest uczennicą szkoły tańca artystycznego Janiny Mieczysławskiej, dokąd ją przed sześciu laty, zaraz po ślubie mąż przyprowadził za rączkę, bo mu spokoju nie dawała... Wciąż mu podobno śpiewała nad uchem... "Ja nie lubię dzieci niańczyć, tylko tańczyć, tańczyć, tańczyć" Pamiętam zresztą, jak mi mówiła jeszcze przed paru laty:

— Ja żyje tylko w tańcu i... tylko tańczę w życiu... Taka już jestem...



Przed rokiem skończyła szkołę p. Mieczysławskiej. Wzięła udział w warszawskim konkursie międzynarodowym. Przydał się jej z dwóch względów: Przede wszystkim, ponieważ została na nim odznaczona specjalną nagrodą za najlepiej wykonany taniec polski. Po drugie bo ujrzała Ruth Sorel, zdobywczynię nagrody im. Prezydenta Rzeczypospolitej, zaprzyjaźniła się z nią i... przejęła się jej sposobem tańczenia... Trudno zaś o wzór doskonalszy...

Przez cały ubiegły rok uczyła dzieci w szkole Mieczysławskiej. Poza tym prowadziła prywatne komplety dla dorosłych... Wszystkie tańce układała sobie sama...

Po skończeniu konkursu wybrano mnie wraz z dwoma członkami jury do komisji obliczeniowej. Z jaką radością przekonałem się o zwycięstwie Ziućki Buczyńskiej... Ale nie wolno mi tego było ujawnić do wieczora... Przysięgałem...

Wychodząc z biura obliczeniowego, spotykam Ziućkę na Sehwarzenbergplatz. Zasypuje mnie pytaniami. Mówi: Przez całą noc oka nie zmrużyłam... Jakże?

Najchętniej byłbym pierwszym zwiastunem radosnej wieści, ale nie mogę... Nie pomogły błagalne spojrzenia. Byłem niewzruszony ...

Trzeba było widzieć oblicze Ziućki Buczyńskiej gdy podczas uroczystego oznajmiania wyniku w Konzerthausie padło na pierwszym miejscu jej nazwisko... Umyślnie ją obserwowałem... Drgnęła,

spojrzała błędnym wzrokiem dookoła i ociągając się, jakby nie wierząc własnym uszom, zbliżyła się do stolika sędziowskiego... Pewno by nawet nie doszła o własnych siłach, ale podbiegi do niej dyr. Rosner, niezmordowany organizator konkursu i podprowadził do Greta Wiesenthal, która wręczyła jej pierwszą nagrodę przez siebie ufundowaną 1.000 szylingów, a potem do prezesa „Archives Internationales de la danse”, który wręczył jej ofiarowaną przez siebie plakietę porcelanową. Owacjom nie było końca...

W garderobie — rozplakała się i długo nie można było jej uspokoić...

— Pani Ziuteńko — mówię — otrzeć oczęta!. Będzie wywiad dla „Światowida”...

— O Boże!... Jeszcze nigdy w życiu nie robiono ze mną wywiadu...

— Bo jeszcze nigdy nie dostała pani pierwszej nagrody na konkursie międzynarodowym... Teraz trzeba, trudno...

— A co się mówi w takim wywiadzie!

— Prawdę i tylko prawdę...

— Prawdę? Ale cóż ja powiem, kiedy ja wcale nie mogę uwierzyć, że ta moja pierwsza nagroda to prawda...

Za to pani ręczę... Sam obliczałem... Całą noc się mordowałem... Zresztą, ma ją Pani w ręku.

— Tak, to rzeczywiście prawda...

— I cóż pani teraz zamierzał

— Nie wiem... Chyba się ubiorę i pójdę do domu...

— Nie o to mi chodzi... Co pani zamierza artystycznie, tanecznie?...

— Wszelkimi siłami pogłębiać moje umiejętności taneczne, uczyć się.

— Jaki kierunek tańca odpowiada pani najbardziej?

— Ten, który krzewi Ruth Sorel... Ona nie tylko tańczy, ale tanecznie maluje, rzeźbi, gra... tworzy postacie... Oł, wczoraj w muzeum widziałam pewien obraz Velazqueza... Postać tam odtworzona będzie mi najbliższym tematem tanecznym...

— Więc pani zawsze sobie sama układa tańce?

— Tak, a muzykę dorabia mi od niedawna Kapuściński, który cudownie mnie wyczuwa... Pracujemy razem... Tworzymy wspólnie...

Nie możemy dłużej rozmawiać... Stoją w ogonku korespondencji pism z całego świata... Skoro już wywiad dla „Światowida” zapewniony, mogę ustąpić im miejsca. Uroczą laureatka wola jeszcze:

— Ale proszę nie zapomnieć, że wszystko, co umiem, zawdzięczam mojej nauczycielce, p. Janinie Mieczysławskiej...

Rozkaz...!

Henryk Liński.